



Holandia • Europa • Świat

Scena Polska.nl

Kwartalnik nr 3(75)/2013

www.scenapolska.nl



■ **Syberiada Polska**

■ **Wyznanie emigranta**

■ **Wspomnienia – Jarek Śmietana**



Fundacja "hOlendry"

Fundacja „hOlendry” powstała w maju 2013 roku. Celem fundacji jest promocja kultury Niderlandzkiej w Polsce oraz działalność oświatowa, rekreacyjno-zdrowotna, sportowa i kulturalna w zakresie rozwoju, wspierania i promocji zdrowego trybu życia.

Fundacja "hOlendry"
www.facebook.com/HolendryNowaRoza
www.nowaroza2.blogspot.com
www.poolspodium.org

**Jesteśmy otwarci na współpracę,
zainteresowanych prosimy o kontakt mailowy:
nowaroza2@gmail.com
poolspodium@gmail.com**

Fundacja "hOlendry"
Numer konta BZ WBK: 88 1090 1854 0000 0001 2126 4460
IBAN: PI88109018540000000121264460, SWIFT / BIC code: WBKPPLPP



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy,

Podczas osobistych spotkań słyszę zewsząd komplementy i uwagi pod adresem naszego pisma. Muszę jednak przyznać, że odczuwam brak szerszego kontaktu z Czytelnikami. A to tak niewiele zachodu, wystarczy napisać kilka słów do redakcji na adres mailowy: poolspodium@gmail.com i wyrazić swoją opinię. Bardziej odważni mogą przysłać własny materiał do publikacji. Przesyłajcie swoje opinie, materiały, redagujemy nasze pismo wspólnie!

Przyznam się Państwu, że dla mnie największą radością jest składanie pisma. To nie tylko zwykła adiuścacja nadesłanych tekstów. To wspaniała praca twórcza, przypominająca trochę pracę rzeźbiarza, który nadaje formę niekształtnej na początku masie tworzywa. Trwa to zaledwie parę dni, potem materiał trafia do drukarni, stamtąd trzeba go odebrać, przygotować do wysyłki, zapakować, zawieźć na pocztę i... pismo trafia do Waszych rąk. I tak już od 19-tu lat. Czyżby w przyszłym roku czekał nas jubileusz?

To wielki sukces, że pomimo braku wystarczających środków finansowych, reklam i sponsorów, ISTNIEJEMY. Cała redakcja i współpracownicy

to wolontariusze, społecznicy dla których kwartalnik „Scena Polska” jest czymś bardzo ważnym. I radością spotykamy się z Państwem co kwartał.

W tym roku, będzie jeszcze też okazja do osobistych spotkań podczas planowanych przez Pools Podium imprezach w Holandii. Planujemy jeszcze w tym roku zaprezentować spektakl teatralny i zaprosić widzów na pokaz filmu. O wszystkim informować będziemy na odnowionej stronie internetowej: www.poolspodium.org i na facebooku: www.facebook.com/scenapolska.poolspodium.



SCENA POLSKA | Kwartalnik, nr 3 (75) 2013 | ISSN 1233-7633

Współfinansowane ze środków otrzymanych od Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2013”

WYDAWCA/ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Zofia Schroten-Czerniejewicz (red. nacz.), Gienek Brzeziński (sekr. red.), Agnieszka Steur, Alicja Grygierczyk, Natalia Schroten, Ewa Augustyniak oraz zespół.

Stichting Pools Podium

Tel. 31 (0) 30 2718296, fax. 31 (0) 30 2719613, E-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, 51.85.44.443.

www.scenapolska.nl | www.poolspodium.nl

Zdjęcia: Archiwum SPP

Skład: Mariusz Mameł | Mac Map

Druk: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki, Tel. +48 (61) 817 27 64

Oktadka: To już jesień. Fot. ZSCz

SCENA POLSKA



www.scenapolska.nl

ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY!

Zadbaj o stałą, bezstresową dostawę kwartalnika, zostań Przyjacielem Sceny Polskiej w Holandii. Wpłaciwszy dobrowolną kwotę na konto 51.85.44.443 (tnv. Stichting Pools Podium) zapewnisz sobie ciągłość lektury, łatwość dostępu do niej i informacje o wszystkim, co organizuje Scena Polska w Holandii.

Zaproszenie do teatru – 15 listopada*

„Jakoś to będzie”



Sztuka Jacka Hempla „Jakoś to będzie” jest komedią, właściwie zapisem dzisiejszej rzeczywistości, widzianą oczami dwóch bohaterów A i B. W przedstawieniu poruszane są tematy, na które często Polacy spierają się i dyskutują, gdyż „zna się na nich każdy”: polityka, prawo, gospodarka, rolnictwo... Mowa jest również o etyce i kulturze naszego społeczeństwa, czyli jednym słowem „żyćko” w Polsce, na początku XXI wieku!

To mądra komedia. Autor z ogromnym wycuciem kieruje emocjami widzów. Pomaga w tym wyśmienita gra aktorów scen warszawskich: Sylwestra Maciejewskiego, który jest tak przekonujący, jakby całe życie był „przedsiębiorcą” rolnym i Jacka Kałuckiego, idealnie wpasowującego się w rolę irytująco praworządnego belfra. W tym humorystycznym, ironicznym lustrze stworzonym przez Jacka Hempla warto się przejrzeć i roześmiać z własnego odbicia, aby potem być gotowym do zmian...

Poza wszystkim spektakl jest wart obejrzenia ze względu na przednią zabawę, której nigdy dość.

Sylwester Maciejewski

Ukończył warszawską PWST w roku 1978. Dzis jest popularnym aktorem filmowym i teatralnym.

W latach 1978-87 był aktorem stołecznej Komedi, gdzie po debiucie w Kolorze niebieskim wg Zoszczenki w reż. Eugeniusza Korina wielokrotnie występował w spektaklach Olgi Lipińskiej (Król IV, Ja się nie boję braci Rojek, Dożywocie, Happy end). Od roku 1987 jest aktorem Teatru Powszechnego.

Ma w swoim dorobku szereg wyrazistych ról drugoplanowych w spektaklach (Jasiek w Weselu Jana Kulczyńskiego, Slika w Przedstawieniu Hamleta we wsi Głucha Dolna Olgi Lipińskiej) i serialach telewizyjnych (Alternatywy IV, Policjanci, Miodowe lata, Graczykowie, Miasteczko) oraz filmach fabularnych (Siekierzada Witolda Leszczyńskiego, Kilerów dwóch i Pieniądze to nie wszystko Juliusza Majewskiego)

Jacek Kałucki

Absolwent warszawskiej PWST (1978), pod opieką pedagogiczną Ryszardy Hanin.

Zaangażowany przez Mariusza Dmochowskiego do stołecznego Teatru Nowego, zadebiutował rolą Nieznajomego w „Horsztyńskim” reż. M. Dmochowski. Później Demetriusz w „Śnie nocy letniej” reż. B. Korzeniowski, Saint-Just w „Dr Guillotin” reż. E. Korin oraz nagradzana rola Ahr-Schreitera w „Mrokach” Bogusława Schaeffera w reż. B. Cybulskiego. Ważnym etapem w jego karierze jest współpraca z redakcją dziecięco-młodzieżową TVP. Udział w popularnym programie „Wyprawy prof. Ciekawskiego”, przyniósł mu popularność i sympatię zarówno młodszej jak i starszej widowni.

Pisze również adaptacje, felietony, skecze oraz teksty piosenek. Płyta CD „Ortografia śpiewająco!” zebrała świetne recenzje. Wystąpił w wielu filmach, ostatnie to: „Pogranicze w ogniu”, „Tato”, „Tygrysy Europy”, „Sfora”.

Reżyseria: Krzysztof Wierzbiański

Obsada: Sylwester Maciejewski i Jacek Kałucki

* *miejsce i godzina wkrótce na stronie www.poolspodium.org. Informacja i rezerwacja tel.+31 30 2718296 lub e-mail: poolspodium@gmail.com*



Zaproszenie do kina – 8 grudnia*

„Syberjada polska”

Jedna z największych produkcji ostatnich lat, która z epickim rozmachem opowiada przejmującą historię Polaków deportowanych w latach 40. na Syberię. Pierwszy polski film zrealizowany w majestatycznych i surowych syberyjskich warunkach.

Dramatyczne losy Jana Doliny (Adam Woronowicz), jego żony (Urszula Grabowska) i dzieci, którzy – po wkroczeniu Armii Czerwonej na ziemie polskie – zostają wywiezieni na Syberię, gdzie muszą stawić czoło NKWD, nieludzkim warunkom sowieckiego łagru i bezlitosnej naturze. Ich jedyną bronią są miłość, odwaga i nadzieja...

„Syberjada polska” to powrót Janusza Zaorskiego do kina historycznego, które przyniosło mu największe sukcesy międzynarodowe (Srebrny Niedźwiedź MFF w Berlinie za „Matkę Królów”, Grand Prix MFF w Locarno za „Jezioro Bodeńskie”).

W obsadzie spotkali się znakomici aktorzy kilku generacji. Między innymi: Adam Woronowicz („Popieluszek. Wolność jest w nas”), Jan Peszek („Pożegnanie jesieni”), Sonia Bohosiewicz („Obława”), Urszula Grabowska („Joanna”) oraz Natalia Rybicka („Chrzest”). Wspierają ich aktorzy ukraińscy – między innymi znany z produkcji Petera Weira „Niepokonani” Igor Gniezdilow, a także Andrii Zhurba i Valeria Guliaewa.

Autorem imponujących dekoracji jest wybitny scenograf Janusz Sosnowski („Przesłuchanie”), który w skali 1:1 zrekonstruował syberyjski obóz Kalucze. Muzykę skomponował Krzesimir Dębski („Ogniem i mieczem”).

Realizacja filmu zajęła 48 dni zdjęciowych, rozciągniętych na cztery pory roku, pomiędzy styczniem 2010 a lipcem 2011. Ekipa liczyła 100 filmowców, choć zdarzało się, że na planie pracowało 250 osób. Większość zdjęć nakręcono w Polsce: na zalewie w Bielinku koło Cedyńi, w Sanoku, Chabówce, la-



sach pod Nowym Targiem, Sierpcu, Drewnicy i okolicach Celestynowa. Najważniejsze sceny plenerowe zostały wykonane na Syberii (między innymi w zabytkowym, drewnianym kwartale Krasnojarska, na zamrzniętym Birusińskim Zaliwie na Jeniseju i w starej syberyjskiej wsi Barabanow). Była to pierwsza w dziejach polskiej produkcji filmowej praca ekipy filmu fabularnego na Syberii.

JANUSZ ZAORSKI (reżyseria)

Urodzony w 1947 roku, jeden z najmłodszych debiutantów w historii polskiej kinematografii, reżyser kilkunastu filmów kinowych i telewizyjnych, seriali, sztuk teatralnych i słuchowisk radiowych. Wielokrotnie nagradzany na krajowych (Złote Lwy na FFFF w Gdyni za „Matkę Królów”) i zagranicznych festiwalach filmowych (Srebrny Lampart za „Pokój z widokiem na morze” i Złoty Lampart za „Jezioro Bodeńskie” na MFF w Locarno, Srebrny Niedźwiedź na MFF w Berlinie za „Matkę Królów”). Autor ekranizacji dzieł takich pisarzy, jak Edward Redliński („Awans”), Stanisław Grochowiak („Partita na instrument drewniany”), Stanisław Dygat („Jezioro Bodeńskie”), Kazimierz Brandys („Matka Królów”), czy Maria Nurowska („Panny i wdowy”). Od 1988

roku kierownik artystyczny Zespołu Filmowego „Dom”, w latach 1991-93 Prezes Komitetu ds. Radia i Telewizji, a w latach 1994-95 przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

*miejsce i godzina wkrótce na stronie www.poolspodium.org. Informacja i rezerwacja tel.+31 30 2718296 lub e-mail: poolspodium@gmail.com



Niezapomniany dzień w Krakowie



ALICJA GRYGIERCZYK

Pierwszy listopada. Zupełnie nieplanowanie jestem w Krakowie. Na Cmentarzu Rakowickim pochowana jest bliska mi osoba, której grób odwiedzam zawsze, kiedy tutaj jestem. Dzisiaj, po raz pierwszy od 20 lat mogę to zrobić w Święto Zmarłych.

Kiedy jeszcze mieszkałam w Polsce, bardzo lubiłam dwa dni w roku, których nie znosiłam potem w Holandii: Wigilię i Święto Zmarłych.

Los sprawił, że dane jest mi znowu obchodzić w Polsce Dzień Zmarłych.

Celebruję każdą chwilę i powoli, bez pośpiechu wybieram się na cmentarz.

Autobus w kierunku Rakowic, który kursuje co dwadzieścia minut, właśnie podjeżdża na przystanek. Jest tak przepelniony, że zabiera tylko parę osób, ale ku mojemu zdumieniu, za parę minut pojawia się następny, potem drugi, trzeci i czwarty. Udaje mi się wsiąść do piątego. Jestem pełna podziwu i wdzięczności dla władz miasta, że tak zadbały o swoich mieszkańców w Ten Dzień.

Przed cmentarzem, targowisko. Pełno kwiatów, ogromnych donic z holenderskimi! chryzantemami, mnóstwo wieńców i zniczy. Znicze ustawione są na piętrowych półkach i podpisane: „Mrozone”, „Ekskluzywne”, „Zalewane”, „Robione ręcznie”, „Nowość”.

Starszy pan kupuje trzy „Nowości” i prosi o zniżkę.

– Kup se pan „Zalewane”, są tańsze – mówi sprzedawca, ale on wybiera jednak „Nowość”: szklane, pękate znicze ze złoconym napisem: „Pozostał żal”...

Na cmentarzu tłumy i... ach tak, przypominam sobie, nic się nie zmieniło: pokaz mody, makijażu, futer, nowych fryzur, a na grobach mnóstwo przeróżnych zniczy i donic z holenderskimi chryzantemami.

Te ostatnie rzeczywiście robią wrażenie, są ogromne i różnokolorowe. Zakwitł cały cmentarz.

Na grobie bliskiej mi osoby zapalam świecę, kładę piwonie, które namiętnie malowała, dziękuję za moje studenckie lata, za tolerancję i całkowite zaufanie jakim mnie obdarzyła. Pograżam się w spokoju, którym emanuje to miejsce. Cmentarz kwitnie i płonie. Jestem tutaj zupełnie sama, ale nie tęsknię za towarzystwem. Pomimo jarmarcznego wystroju, czuję coś mistycznego, co trudno wyrazić

słowami. Jeszcze wizyta w Kościele Mariackim i ten dzień będzie należał do niezapomnianych.

Na Rynku nie ma żywego ducha. Sukienice, które zawsze tętnią życiem, świecą pustkami. Chcę gdzieś napić się kawy, ale wszystko pozamykane. – Wiem, dzień wolny od pracy, ale żeby aż tak? Obchodzę Rynek dookoła. Ani jednej czynnej restauracji, kawiarni. Nie ma dorożek. Nawet gołębie odleciały. Nierealne wrażenie. Największy rynek w Europie wyludniony. Jestem sama, ale teraz przydałby mi się ktoś z tego świata, bo mam uczucie że śnię.

W kościele Mariackim msza. Uczestnicy w niej jedynie garstka osób. Ponieważ jest nas tak niewielu, udaje mi się usiąść tuż przed ołtarzem Wita Stwosza.

Nade mną gotyckie, niebieskie, usłane gwiazdami prezbiterium, wokół mnie ściany malowane przez Matejkę i jego uczniów, witraże Mehoffera i Wyspiańskiego. Jestem w świątyni sztuki. Zachwyt, podziw, oczarowanie. Za każdym pobycem inne, bo z innego miejsca doświadczane.



Mszę odprawia biskup i dwóch księży. Ich złotozielone szaty liturgiczne podkreślają jej znaczenie. Ministrant rozdaje nam kartki z tekstem i jeden z księży zaczyna śpiewać.

Zagłębam się w tekście i ogarnia mnie... osłupienie: „Dzień on, dzień gniewu Pańskiego, świat w proch zetrze. Świadkiem tego Dawid z Sybilią wszystkiego. Och jak wielki strach tam będzie, gdy sam Bóg na tron zasiędzie i roztrzasać wszystko będzie. Trąba dziwny głos wydając, groby ziemskie przenikając, wszystkich zbudzi pozywając.”

Następne zwrotki są o „spisanych księgach, które wystawione będą” i że „król tronu straszliwego zasiędzie”, o „wszelkiej skrytości, która jawną będzie” i „każni, której żaden grzech nie zbędzie”.

Patrzę na inteligentną twarz biskupa, na towarzyszące mu twarze młodych księży i wydaje mi się, że znowu śnię.

Jest dwudziesty pierwszy wiek. Jestem w Krakowie, w mieście o otwartych umy-

ślach, w kościele znanym na całym świecie, a mam wrażenie, że zostałam przeniesiona w Średniowiecze.

– A więc nawet tutaj nic się nie zmieniło, nawet w tym mieście.

Przypominam sobie dziewczynkę, która była członkiem Kościoła, bo została ochrzczona i poprowadzona do Pierwszej Komunii, po której wręczono jej Biblię i powiedziano, że jest to Księga Święta. Dla małej dziewczynki, która brała każde słowo dosłownie, ta księga była święta. Zagłębiała do niej od czasu do czasu, ale nic nie rozumiała. W kościele w małej wiosce, w której spędziła dzieciństwo, słuchała kazań, na których dowiadywała się, że ci, którzy odejdą od Kościoła, zostaną potępieni. Na lekcji religii uczyła się o okrutnym królu Judei, Herodzie, który mordował małe dzieci i się bała. Rysowała wielkie oko Pana Boga, które „wszystko widzi i słyszy” i też się bała, bo wcale nie była taka święta. Bała się też każdej spowiedzi, bo życie stawało się dla niej jedną wielką przygodą, której doświadczała, ale żeby to było możliwe, kombinowała i kłamała. Im bardziej fascynowała ją życie, tym więcej koronek różańca w pokucie dostawała. I nagle się zakochała. W chłopaku i w życiu. Bogu za to dziękowała.

Kiedy spowiadała się z paru opuszczonych mszy niedzielnych, ksiądz zapytał ją nagle, czy ma już chłopaka i czy się całowała.

– Tak – odpowiedziała.

– To ty jesteś dziwką – usłyszała.

Wstała z klęczek i wyszła z Kościoła na zawsze. Z Bogiem już bez pośredników się kontaktowała.

Ze Świętą Księgą się jednak nigdy nie rozstała. Dopiero po latach, czytając wschodnich mistyków zrozumiała jej słuszność. Dalai Lama, Deepak Chopra, Anthony de Mello, Oscho. To im zawdzięcza czerpanie z niej duchowego pokarmu, poznawanie tajemnicy życia i...odkrycie opatrności w sobie.

Wychodzę z kościoła. Towarzyszy mi śpiew biskupa, księży i wiernych: „opłakany dzień ten będzie, kiedy z prochu się dobędzie na sąd straszny człek mizerny, bądź mu Boże miłosierny...”

Tuż przed wyjściem zapalam świecę. W intencji polskiego Kościoła. Żeby się przebudził. W przeciwnym razie jego przepiękne domy zaczną świecić pustkami, albo pozamieniają się w sklepy meblowe, miejsca rozgrywek brydżowych i ekskluzywne mieszkania, tak jak to stało się w Holandii. O Biblię jestem spokojna. Zawsze były, są i będą wybitne umysły, które przetłumaczą ją zwykłym ludziom. Ona przetrwa na pewno.

AG

Było gitarzystów wielu

KRZYSZTOF WODNICZAK

Styczniowy koncert w poznańskim klubie „Blue Note” był Jarka Śmietany ostatnim. Po pierwszej części poczuł się źle; ostatnia część była skrócona.

Lewa ręka zawodziła.

Ja sobie najbardziej cenię te płyty z grupą EXtra Ball, symfoniczne i ostatnie.

Płyt z udziałem Śmietany była pewno setka i 30 autorskich.

Może porównywać jest nieestosownie, ale taki Zbiniu H. choć to ten sam rocznik, to za Jarkiem mógłby nosić futerał od gitary. Nastrojenia instrumentu raczej bym mu nie powierzył. I kto tu jest prawdziwym artystą?

Jest, bo kilka płyt Śmietany już jest w światowym kanonie jazzowym.

Do lat siedemdziesiątych gitara nie była popularnym instrumentem w polskich zespołach jazzowych. Było ich trzech: Janusz Sidorenko, Leszek Bogdanowicz i Marek Bliziński. Sidorenko szybko się wycofał i zajął realizacją dźwięku.

Bogdanowicz zrezygnował z grania jazzu na rzecz muzyki popowej. Jedynie Marek Bliziński pozostał wierny jazzowi. W latach siedemdziesiątych odkryciem byli Jarek Śmietana i bracia Ścierańscy. Po latach pracy dla Budki Suflera do jazzu powrócił Marek Raduli. Dziś poza amerykańskimi i kilkoma Francuzami, gitara jazzowa stała się polską specjalnością. Poza naszym bohaterem, Marek Napiórkowski, a za oceanem odkryciem jest młody polski gitarzysta Rafał Sarnecki. Po ten trudny instrument sięga coraz więcej młodych jazzmanów. Niektórzy zostali trochę zapomniani, jak na przykład Marek Piwowarski (formacja Paradox”) i poznański muzyk Roman Rauhut, który kiedyś grał i komponował dla „Teatru ósmego Dnia”, znany w środowisku, jako muzyk sesyjny.

Od 1975 Jarek Śmietana, jako nauczyciel na warsztatach jazzowych, uczył adeptów gitary. Jako bardzo młody człowiek był jednak dla nich mistrzem.

Niestety, większość wybrała scenę rockową, bo tam chleb pewniejszy i lżejszy.

Ciekaw jestem, czy teraz te tuzy rokowej gitary przyznają się, od kogo uczyli się i gdzie zdobywali szlify. Pamiętam z Warsztatów w Chodzieży te tłumki długowłosych młodzieńców z gitarami, a każdy chciał być drugim Hendrixem, po opanowaniu czterech rifów i trzech akordów. Na zajęciach nabierali pokory, bo choć



Jarek Śmietana grał na zaproszenie Sceny Polskiej w 1996 roku w Hadze

początkowo instrument łatwy, to z każdym krokiem coraz trudniejszy.

Wspominał Jarek Śmietana, że zafascynowała go gitara, kiedy usłyszał Petera Greena „Albatrosa”. Zaczynał od rocka, ale pilnie uczył się muzycznego rzemiosła w średniej szkole muzycznej w Krakowie. Kiedy na katowickiej akademii powstał wydział jazzu i muzyki rozrywkowej, kontynuował tam studia. Pierwsze występy z orkiestrą szkolną katowickiej akademii już zapowiadały wielki talent. Od początku Jarek stał się ulubieńcem publiczności, ale krytycy raczej go nie rozpieszczali. Często recenzenci zarzucali mu eklektyzm, brak własnego stylu i wycieczki na koncertach w stronę rockowej, czy bluesowego repertuaru.

Paweł Brodowski napisał o nim: „Nie był nowatorem, nie stworzył odrębnego idiomu wypowiedzi, ale miał własne, rozpoznawalne brzmienie, które było syntezą jego rozległych zainteresowań i inspiracji. Wychowany na muzyce beatowej i rytm and bluesie, stał się championem jazz-rocka, a potem szedł do hard bopu i mainstreamu, ogarniając całą tradycję jazzu.”

To prawda, nie silił się na popisy, ulubione rify rockmanów, jednak zawsze spontaniczny, a jednocześnie niezwykle precyzyjny. Panował nad instrumentem w każdej sytuacji i choć poruszał się ze swobodą i erudycją po różnych gatunkach muzyki rozrywkowej, to miał, coś, o czym marzy każdy instrumentalista: rozpoznawalny ton. Cokolwiek by nie zagrał, po czterech taktach wiadomo

było, że to nie kto inny, tylko Jarek Śmietana.

Niech mi będzie wolno dodać do tego ton osobisty. Jarek Śmietana w ostatnim czasie odwiedzał Poznań regularnie, był z repertuarem Hendrixowym z Karolakiem i Kenedym, z repertuarem bluesowym i ostatnio w styczniu 2012 z klasycznym jazzowym składem z Andrzejem Olejniczakiem. Z tego koncertu bluesowego została mi płyta z autografami muzyków. Po koncercie chwilę rozmawialiśmy. Przypomniał sobie Chodzież i krakowskie spotkania. W 1995 był w Krakowie jubileusz dwóch dekad na scenie. Rozmowa przebiegała tak, jakbyśmy ją wczoraj przerwali. Nie wątpię, że był to nie tylko świetny muzyk, ale i człowiek taki, którego chce się mieć w gronie zaprzyjaźnionych. Zmarł 2 września 2013 roku. **KW**



Wojtek Kowalski

PAMIĘĆ

*Weź moją dłoń
w swoje dłonie
niech ciepło ich
przemieni się w płomień
Niech
kiedy przyjdzie zapomnieć
pozostanie
płomienne wspomnienie*

„Scena Polska” wspomina pamięć Tych, którzy zbyt wcześnie odeszli z naszego grona: Wojtek Kowalski, Marjolein Piechowiak, Wanda Siemradzka de Ruig, Grażynka Brzezińska, Grzesiu Staśko, Krzysztof Kolberger, Janusz Romaniszyn, Ania Małachowska, Jarek Śmietana i inni.

Niech na zawsze pozostaną w naszej pamięci.

Taki zwykły dzień



AGNIESZKA STEUR

Budzę się i jeszcze przez chwilę, choć budzik zgłasza już swój sprzeciw, jestem w świecie kolorów, poezji i muzyki. Nie śpię, ale jeszcze przez chwilę myślę, że śnię. Pamiętam wędrówki, słowa i dźwięki. Potem dzień wymiata kolory, metafory, tony i półtony. Jeszcze przez chwilę moje myśli tańczą i prawie czuję miękkość chmur pod stopami. Z wolna świat staje się wyraźny, codzienny i taki zwykły.

Otwieram oczy i nie przychodzą do mnie goście z Akwinu i Asyżu. Pan Cogito też nie zadaje już trudnych pytań. Nikt nie udziela odpowiedzi, chyba, a może ja nie słucham. Pomrukują tylko w zamyśleniu, choć nie, to jednak ja. Promień słońca niczym szpada rozcina zasłony.

Potem do szkoły i znów te małe rozstania, tylko do południa, ale to już inny świat. Nie rozmawiamy o tym, bo to zwykłe. Jednak od rana do każdego popołudnia dzieci się zmieniają. Znów są starsze, mądrzejsze i bardziej doświadczone.

A może dziś do fryzjera? Raz na wieki, bo już nie te czasy, już nie można sobie pozwolić. Pozbędę się srebrnych dowodów przemijających dni.

W drodze do domu drzewa w białych kolanówkach, które odstraszały insekty. Stoją na straży tego, co niezmiennie.

Chwila przy kawie i program w telewizji. Sto uśmiechów Mona Lizy, a ona wybrała ten i tak już zostało. Sklepienia budowli i te w głowie odsłaniają swe sekrety.

Wsparta na parapecie okna wypatruję motyli, choć czasem zdarza mi się zaglądać do środka. Dopisuję wtedy historię do nie zawsze istniejących twarzy i istniejących wnętrza. Pieczołowicie dbam o happy endy.

Przychodzi listonosz ze stertą rachunków, opłaty za bycie i niebycie, za jasność, czystość, za to, że tu na chwilę i trochę tam, bo opony, bo koła, bo szyba; a opłata musi być. Dach przecieka a pralka toczy bęben przez kolejne góry wspomnień, zup, błota i farb.

Codziennosc!

Gdy wycieram podłogę, królowa puka w mej głowie i prosi o kolejny rozdział. Jeszcze chwilę, już pędzę. Na zakupach książkę chce dobrać miecza a tu tylko pomidory, chleb i mleko.

Literatura w stertach leży i tylko świadomość jej posiadania poprawia nastrój. Zawartość nadal pozostaje wędrówką hieroglificznych mrówek. Na stole wyleguje się bezczelnie ryza białego papieru i swą czystością podkreśla wyrzuty sumienia.

Nagle przychodzi do mnie chłopiec, prawie mężczyzna, już nie dziecko. Strzela palcami i gubi się w mijających dniach,

a przecież tak bardzo pilnuję. On natomiast niebezpiecznie piszczy, jakby rozmawiał z nietoperzem a to tylko muzyka nowego czasu.

Odkurzacz warczy!

Ząb rusza się tak bardzo, że trzyma się dziąsła córki już tylko siłą jej woli. Jeszcze dziś się rozdziela. Potem będzie nowy, ten który doświadczy jej dorosłego życia.

No i zaczyna padać. Deszcz z chmury wcale niewysoko zwieszona przekłamuje barwy odzieży i figlarnie kręci włosy.

Wieczne cienie tak realne, że aż nie wiadomo, czy należą do ludzi, czy ludzie do nich.

Telewizor rozdarty wiadomościami o śmierci kolejnego dziecka. Żadna świeczka nie znieczula okrutnej sytuacji.

Układam włosy i słowa w kolejności z nadzieją, że znajdą sens, że mnie zrozumieją a potem już się gubię. Słowa ze swym wnętrzem światłem przenikają, ale jeszcze trochę niezgrabnie. W torebce notes na myśli do niezapomnienia. Na głowie nieład.

Do wieczora rozwiązuję moją polsko-holenderską krzyżówkę a hasło nadal pozostaje niewyraźne, pionowo, poziomo i na ukos, też się nie udaje.

Atrament łzawi, dzień dobiega końca. Zsunięte ramiączko odsłania pierś a może serce? A pytanie pozostaje, które z tych snów są wielkie a które małe.

AS

Kofeinaowa śmierć

AGNIESZKA STEUR

Lubię te chwile, gdy zasiadam do komputera, by spisać kolejne losy moich bohaterów. To trochę tak, jakbym opisywała równocześnie coś, co się wydarzyło i co się dopiero wydarzy. Historia jest już w mojej głowie a za chwilę pojawi się na monitorze. Książka z wolna powstaje. Bohaterzy żyją we mnie tak dokładnie, wyraźnie, że czasem przyprowadzają o ataki schizofrenii. Trzeba zapisać, bo jeszcze zapomnę, co im się dziś przydarzyło. Bliscy i dalecy, bo ich wymyśliłam, ale już żyją swoimi życiami.

Obok komputera, jak zawsze, stawiam kubek gorącej kawy. Na ekranie za czarnymi znaczkami pojawiają się widoki, emocje i twarze. Rozpoczęłam wędrówkę po ziemiach innego świata. Historia nabiera tempa, palce tańczą na klawiaturze.



Po chwili uniosłam kubek. Mimochodem rzuciłam okiem na mlecznobrązowy płyn. Na jego powierzchni unosiła się mucha. Później nic nieznaczące wydarzenie zatrzymało mnie na chwilę. Dramat niezauważony, a przecież rozegrał się tuż obok. Tragedia; samobójstwo przez przypadek z nutką mleka

w tle. Odejście pachnące kawą i inspiracją. Pierwsza pomoc nie zdała się na nic. Łyżeczka ratująca przybyła zbyt późno, bo nawet na niej tchu złapać się już nie udało. Pierwsza pomoc okazała się nieprzydatna, bo nie mam takiej mocy lub może niemocy.

Śmierć w kofeinie – piana uniosła owada niczym na chmurze. Lot, w nieznanym dla mnie kierunku, już się zakończył. Śmierć, taki sobie przypadek, prawie niezauważona, w tej jednej chwili mogłaby być zapomniana. Nie jest pierwsza i nie będzie ostatnia. Mucha jak orzeł, jak anioł rozłożyła skrzydła. Czy to sen nieprzespany, czy zaspanie na zawsze? Jestem tu, świadek zakończonego cierpienia, a może to tylko moja wyobraźnia.

Chwila zamyślenia, nad tym jak wiele takich much, bo nie tu, bo daleko, bo nie istotne. Zgon w zupełnej ciszy, choć czasem ktoś o tym poinformuje, a potem znów cisza. Zatrzymał mnie na chwilę; zastanowił, zachwycał, zasmucił.

Czy zapisanie tego, nadaje wydarzeniu sens?

AS

Wyznanie emigranta

(Fragmenty książki „Dwa słowa”)



ALEK SILBER

Pod całym dniem podróży dobrnąłem do miejscowości Larissa. Zmęczony i głodny wszedłem do najbliższej restauracji. Jak większość podobnych lokali była obskurna, niechlujna i wyjątkowo pusta. Widocznie zimowa szaruga odstraszyła regularnych bywalców i pozostali tylko tacy jak ja zagubieni podróżni. Wybrałem nie krępiący stolik przy oknie. Właśnie kończyłem przepisowe suwlaki, kiedy z drugiego końca sali podszedł do mnie mężczyzna o typowym wyglądzie dla tych stron; wąs, kilkunastu zarost, szpakowate, rozczochrane włosy, nieświeży kołnierzyk białej koszuli i zmięta marynarka. Nieznajomy zapytał mnie, czy mówię po angielsku, potem skąd jestem? Na dźwięk słowa Australia twarz pojaśniała mu szerokim uśmiechem i zapytał, czy może się przysiąść? Po chwili zamówił dwie szklaneczki ouzo i zaczęła się rozmowa. Widać było, że bardzo pragnie za mną mówić, jednak co chwila nerwowo spoglądał na zegarek. W końcu mi wyjaśnił, że miał przed sobą długą drogę i stąd ten pośpiech. Dopiero kiedy się okazało, że ja też jadę na północ i że chętnie się z nim zabiorę, ucieszył się jak dziecko.

Jego ciężarówka była w lepszym stanie niż ta, którą tu dotarłem; czyste wnętrze zdobiło parę świętych obrazków, działało ogrzewanie i przekrzykując szum ulewnego deszczu, można było rozmawiać. Zresztą trudno to nazwać rozmową, był to raczej monolog. Nieznajomy mówił z przejęciem, spoglądając na mnie, jakbym był namiestnikiem dalekiego lądu, jakbym mógł rozwiązać jego problemy lub co najmniej je zrozumieć. Obie ręce trzymał na wielkim kole kierownicy, starając się wzrokiem przebić ociekającą szybę i mżolne wycieraczki. Patrzyłem to na jego skupioną twarz, to na snop światła rozświetlający ciemność deszczowej nocy i... słuchałem.

Dziesięć lat temu Janis wyemigrował do Australii. W rodzinnej wsi czasy były ciężkie, na dom spadły nieszczęścia, stracił prawie całe bydło, kozy pozdychały na jakąś dziw-

ną chorobę. Parę lat suszy zniszczyło plony z małego poletka, biedowała cała wieś. Więc kiedy sąsiad przeczytał mu entuzjastyczny list od syna, który wyemigrował na antypody i po kilku latach kupił sobie dom, Janis pomyślał, że jest to palec Boży. Sprzedał, co mógł, zostawił tylko chałupę i wraz z młodą żoną wyjechał do wymarzonego Eldorado, gdzie żyje się bogato i spokojnie. Nie znał wprawdzie angielskiego i nie miał zawodu, ale komu to było potrzebne w krainie miodu i mleka?

Pierwszą rzeczą, która go uderzyła po zejściu z emigracyjnego statku, były muchy. Małe natrętne muszki wchodziły do oczu, do nosa, siadały na ustach. Zauważył, że nie tylko on, ale i miejscowi nie mogli się od nich opędzić. Uśmiechnął się – po co ja ci to mówię, przecież sam wiesz. – Tyle, że te muszki stały się dla Janisa jakimś symbolem tego, co nie lubił, miejsca, w którym od razu źle się poczuł. Wszystko było tu inne, obce; i krajobraz, i ludzie, ulica, sklepy. Nie przypuszczał, że może być aż taki kontrast. On jest człowiekiem prostym, nie skończył uniwersytetów, ale miał podstawowe poczucie estetyki. Do tego nie trzeba dyplomu, chociaż przyznał, że trochę maluje i może dlatego ma szczególnie wyczulone oko. Wygląd miasta, a zwłaszcza jego biedniejszych dzielnic, urągał wszelkiemu poczuciu piękna. Koszmarne domki z brunatnej cegły, ohydne fasady szarych sklepików, zardzewiałe daszki nad chodnikami, przedpotopowe szlabany i druty. Wszelkie druty zwisające niedbale nad każdą ulicą, w poprzek, na ukos, pojedynczo i w nieregularnych splotach. Rury na zewnątrz budynków, niczym bezwstydnie obnażone bebechy. Nawet ładną plażę potrafili zeszpecić.

Jednak najbardziej brakowało mu ludzi, przyjaciół, tęsknił do swojej wioski, tam codziennie z kimś rozmawiał, z kimś się spotykał, była rodzina, sąsiedzi. Tu wszyscy zamykali się w tych swoich domkach-twierdzach i tylko w sobotę albo w niedzielę, niczym ślimaki, wychylali łebki na świat. Najdziwniejsze, że i rodacy przyjęli tu miejscowe obyczaje, nawet z nimi nie było tej więzi, do jakiej przywykł w domu. Chłodny, obcy i nieprzystępny był ten anglosaski świat. I brzydki.

Zamieszkali w ubogiej dzielnicy, gdzie żyło wielu podobnych emigrantów, głównie Greków. Z pracą nawet nie było problemów, przyjęli go do Forda, chociaż nie znał języka. Nie lubił tej pracy. U siebie na wsi chodził po polu, był na świeżym powietrzu, widział niebo i rzeczkę. Tu tkwił w zamkniętej hali, w smrodzie i hałasie. Zarabiał nieźle, wkrótce wzięli pożyczkę na dom, urodziły się dzieci. Znalazł

nowych kolegów, głównie Greków, ale żona ciągle popłakiwała, tęskniła do wioski, do rodziny. W snach widziała swoje pole, cerkiew, czuła zapach kadzidła. Kiedy dzieci już spały, siadali w kuchni, cichutko włączali grecką muzykę i oglądali fotografie z domu. Wreszcie postanowili, że nie ma sensu się dłużej męczyć, nowa ziemia nigdy nie będzie ich ojczyzną, zawsze będą tęsknili, zawsze będą się tu czuli obco. Misie koala i eukaliptusy były sympatyczne, ale nie ich. I nigdy nie będą. Sprzedali dom, samochód, meble i z poczuciem wielkiej ulgi i radości wrócili do swojej wioski.

Janis zapalił papierosa i zamyślił się. Szum deszczu mieszał się z równomiernym szuraniem wycieraczek. Przez szpary w szybach powiało chłodem. Mówiący przerwał swój monolog ginąc gdzieś we własnych myślach; to zaklął po grecku, to uderzył się dłonią w czoło albo dodał gazu, by po chwili zwolnić, bo nic nie było widać. Kiwał głową i mówił coś do siebie. – Nie rozumiesz po grecku? Przytaknąłem. Jeszcze jakiś czas tak się zmagali, aż powrócił do swojej historii.

Teraz pracuje dwanaście godzin na dobę, czasami i szesnaście. Jeździ ciężarówką z północy na południe i z powrotem. Żona dorabia prasowaniem, oszczędzają każdy grosz. Wolno im to idzie, ale nie poprzestaną. W tej determinacji trzymają ich nadzieja, że w końcu osiągną swój cel. Odkąd wrócili do Grecji, ich pragnienie stało się obsesją, o niczym innym nie myślą. Janis przerwał i spojrzał na mnie, ale zaraz zwrócił wzrok na szosę, by pokonać ostry zakręt. Kończąc swoją opowieść nie patrzył na mnie, mówił jakby do siebie, w przestrzeń.

– Po powrocie nasza wioska stała się dla nas za ciasna, niechlujna i strasznie biedna. Dzwonne, że przedtem tego nie widzieliśmy. I nie uwierzysz – nawet ludzie, straciliśmy dawne więzy, bliskość, czy to my się zmieniliśmy, czy oni? Często rozmawiamy z żoną na ten temat i tak do końca nie potrafimy tego rozgryźć. Podobno Hindusi powiadają, że nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki. Ty mnie rozumiesz, prawda? Marzymy o powrocie do Australii. Po nocach śnią się nam plaże, ocean, wysokie niebo i zapach eukaliptusa. Żona powiesiła na ścianie bumerang i śmiejąc się, pokazuje go dzieciakom – wrócimy tak jak on. Opowiada im historyjki o tej naszej „ziemi obiecanej”, małe słuchają z rozdziawionymi gębami i nie mogą się doczekać. My też. Dla kogoś, kto tego nie przeżył, to może wydać się głupie...

Potem długo jechaliśmy w milczeniu.

ALEK SILBER

AUSTRALIA



Piszę, więc jestem...

teksty polonistów, studentów, absolwentów i gości – wykładowców Uniwersytetu Amsterdamskiego (11).

ELŻBIETA NIEMCZUK-WEISS



Drodzy Państwo,

tym razem, włączając nieco formułę rubryki, chcę napisać o naszym ostatnim Gościu, na spotkanie z którym czekaliśmy z wielką radością i w tworzącym napięciu.

1 października w gmachu głównym Biblioteki Uniwersyteckiej w Amsterdamie mieliśmy spotkać się z Józefem Henem – prozaikiem, reportażystą, dramaturgiem, scenarzystą i reżyserem. Twórcą znanym i znaczącym w powojennej Polsce. Laureatem wielu nagród literackich, dwukrotnie nominowanym do literackiej Nagrody Nike (w 1998 r. za biografię literacką Błażen – wielki mąż. Opowieść o Tadeuszu Boyu-Żeleńskim oraz w roku 2004 za beletryzowaną biografię Stanisława Augusta Poniatowskiego *Mój przyjaciel król.*)

Na prośbę Ambasady RP, a ściślej pana dr. Piotra Perczyńskiego, wiceambasadora i pani Natalii Zweekhorst, attache kulturalnego naszej ambasady, polonistka amsterdamska włączyła się w przygotowanie Dnia Józefa Hena, który miał poprzedzić 90. urodziny pisarza przypadające 8 listopada b.r.

Przed wakacjami ogłosiliśmy Konkurs Ambasadora RP, pana dr. Jana Borkowskiego na tłumaczenie fragmentu książki biograficznej Nowolipie. Prace oceniało jury w składzie:

- przewodniczący- prof. Willem Weststeijn, emerytowany kierownik Katedry Literatury Słowiańskiej Uniwersytetu Amsterdamskiego, redaktor główny periodyku Tijdschrift voor Slavische Literatuur (*Zeszyt Literatury Słowiańskiej*) oraz członkowie:
- prof. dr. Kris Van Heuckelom, wykładowca literatury i języka polskiego na Katolickim Uniwersytecie Lovańskim w Belgii,
- dr hab. Arent van Nieuwerkerken, wykładowca literatury polskiej na Uniwersytecie Amsterdamskim, Członek Zagraniczny PAN,
- Natalia Zweekhorst –Krüger, attache kulturalny Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej. Sekretarzem jury była pisząca ten tekst.

Do 7 września prace na konkurs nadesłało 18 osób, w tym 3 z Polski, 3 z Belgii, pozostałe z Holandii. Konkurs miał na celu popularyzowanie twórczości Józefa Hena na obszarze niderlandzkojęzycznym, ale też zaktywizowanie i wyłonienie nowych tłumaczy literatury polskiej w Holandii i Belgii. Do tej pory bowiem na tutejszym rynku księgarskim znana jest jedna książka autora – Prawo i pięść w przekładzie Psiszko Jakobsa (1981). Niewiele jak na ponad 2 miliony sprzedanych egzemplarzy książek w niemal 20 językach. Konkurs Ambasadora był więc pierwszym krokiem, by zmienić tę sytuację. Regulamin przewidywał, że zwycięzca oprócz nagrody pieniężnej i publikacji tekstu w Tijdschrift

voor Slavische Literatuur będzie tłumaczył książkę Nowolipie, jeśli znajdzie się zainteresowany nią wydawca. Mamy nadzieję, że plany te dojdą do skutku.

Grupą bardzo ważną wśród tłumaczy byli studenci studiów polonistycznych i translatorskich na Wydziale Humanistycznym, które na UvA prowadzi dr Eric Metz.

Dzień Józefa Hena miał być dniem wręczenia nagród w konkursie, ale przede wszystkim spotkaniem z pisarzem, a dla tłumaczy dodatkowo okazją do pracy nad tekstem i możliwością dyskusji z jego autorem. Niestety, życie napisało inny scenariusz i Józef Hen nie mógł przyjechać do Amsterdamu. Przesłał jednak list do uczestników wydarzenia, list w stylu ciepłym, ludzkim i bezpośrednim, jaki charakteryzuje styl pisarza. I tak Józef Hen stał się Wielkim-Nieobecny a wszyscy wypowiadający się zamiast „mówić do” czy „w obecności”, „wypowiadali się o”, co zmieniło jedynie formułę całego dnia, nadal jednak dając okazję przybliżenia biografii twórcy i jego bogatego dorobku holenderskiemu czytelnikowi.

A oto treść listu do uczestników konkursu i Dnia Józefa Hena odczytanego na otwarciu części oficjalnej:

Szanowni Państwo! Albo lepiej: Moi drodzy! Którzycie zebraliście się tu, by zastanowić się nad fragmentem dorobku starego autora z Warszawy. Nie będzie przesady w wyznaniu, że jestem tym poruszony. Po sześćdziesięciu latach pracy mam do takiego uczucia prawo. Może państwa zainteresuje, że mój książkowy debiut opatrzył wstępem znakomity pisarz – reporter i publicysta, zarazem autor świetnych opowieści – kombatant spod Narviku, Ksawery Pruszyński, wówczas ambasador Polski w Hadze.

Mocno żałuję, że nie mogę brać udziału w dzisiejszym spotkaniu. Mam taką w głębi serca nadzieję, że dyskusja nad nostalgicznym tekstem o dawnym Nowolipiu, da sposobność do zastanowienia się nad tym, co i obecnie przeżywamy. Wbrew pozorom, człowiek tak bardzo się nie zmienia. Zmieniają się okoliczności, technika życia, komunikacji, wiedza, załadnienie, ale nie zmieniają się bodźce, ambicje, słabości. Jest to zawsze ten sam Homo Ludens, o którym pisał wielki historyk holenderski, Johann Huizinga.

A więc – powodzenia!
Józef Hen

Na program dnia złożyły się trzy części. Pierwszą, zamkniętą dla szerszej publiczności,

stanowiły warsztaty translatorskie prowadzone przez dr. Eryka Metza. Ich podstawą był inny fragment z książki Nowolipie (Bożek), wcześniej przetłumaczony i przesłany przez uczestników. W części głównej, panelowej, mieliśmy okazję posłuchać wy-

powiedzi skoncentrowanych wokół tematu Biografia jako tworzywo literackie. Jej moderatorem był dr hab. Arent van Nieuwerkerken.

Dr Piotr Perczyński, bardzo dobrze znający autora i jego dorobek, malował słowami portret twórcy – człowieka, pokazał różnorodność podejmowanych przezeń tematów a także gatunków pisarskich i innych wypowiedzi artystycznych, jak scenariusz, reżyseria czy formy teatralne. Podkreślał rozmiary i liczne walory dorobku pisarskiego Józefa Hena, jego nowatorskie rozwiązania, jednocześnie szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego autor jest wciąż tak mało znany i nie w pełni doceniany w literaturze europejskiej i światowej.

Inni uczestnicy panelu – prof. Willem Weststeijn (UvA) i prof. Kris van Heuckelom (KULeven) mówili o niewielkiej obecności twórczości Józefa Hena w Holandii i Belgii, zwracając jednocześnie uwagę na wątki podejmowane przez pisarza, które mogłyby okazać się interesujące dla czytelników w tych krajach. Dopelniającym głosem prezentacji była wypowiedź publicystki i tłumaczki Ewy van den Bergen-Makały, która we wrześniu tego roku przeprowadziła w Warszawie wielogodzinny wywiad z Józefem Henem. Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli przeczytać ten wywiad w prasie literackiej i polonijnej.

Akcentem zamykającym część główną uroczystego dnia było odczytanie raportu z prac jury i ogłoszenie wyników konkursu translatorskiego. Głos zabrał Pan Ambasador, dr Jan Borkowski. W swoim wystąpieniu wyraził wdzięczność nam, pracownikom amsterdamskiej slawistyki, za współorganizowanie tego artystycznego wydarzenia. Zaproponował podjęcie tradycji dorocznych konkursów na tłumaczenie, co zgromadzeni przyjęli z aprobatą. Pan Ambasador podziękował wszystkim uczestnikom konkursu i wręczył im dyplomy uczestnictwa, a zwycięzcom nagrody. Laureatami Konkursu Ambasadora RP zostali:

- I miejsce – pan Gijs Franssen z Hagi
- II miejsce – pan Eric Pap z Amsterdamu
- III miejsce – pani Anita van der Molen z Drachten

Zwycięzcom raz jeszcze tą drogą gratulujemy, a wszystkim uczestnikom bardzo dziękujemy za włożony trud i wzięcie udziału w konkursowych zmaganiach.

Po przerwie, w czasie której można było oglądać wystawę książek Józefa Hena, wielu wytrwałych uczestników zgromadził film *Krzyż Walecznych*, dramat wojenny z 1958 roku, debiutancki film Kazimierza Kutza nakręcony na podstawie trzech nowel Józefa Hena – *Krzyż*, *Pies* i *Wdowa*. Mam nadzieję, że był to ze wszech miar owocny czas.

ELŻBIETA NIEMCZUK-WEISS

ROZDARCI

Przyciągamy się jak magnez



SZYLWIA TRZOSEK –SZABÓ

Chcę napisać co to jest „Mini Złot”, skąd się to wzięło i co dla mnie znaczy. Postaram się po krótkce wyjaśnić, więc mam nadzieję Drogi Czytelniku, że dasz radę podążyć moim tropem.

Sama nazwa „Mini Złot”, wzięła się od Złotu Młodzieży Polonijnej, której pełna nazwa brzmi: Światowy Złot Młodzieży Polonijnej „Orle Gniazdo”. Owo wydarzenie odbywa się co dwa lata i jest organizowane przez Wielkopolski Oddział Stowarzyszenia Wspólnota Polska. Jak sama nazwa wskazuje, gromadzi młodzież pochodzenia polskiego z całego świata. Właśnie na tym Zlocie poznała się nasza polonijna grupa przyjaciół. Najstarsze znajomości zawiązały się dwanaście lat temu. No i tak trwały, pojawiały się nowe, przekształcały się w głęboką przyjaźń – z regularnością dwuletnią. Jednak w pewnym momencie, pojawiła się chęć częstszych spotkań. Może to był bardziej niedosyt... albo dojrzelśmy i wreszcie mieliśmy możliwość, żeby spotykać się częściej. Nie było to łatwe, bo większość z nas mieszka poza Polską, w innych europejskich krajach i nie tylko. Jeśli wolno mi się tak wyrazić, jesteśmy różnymi „mieszankami”: w niektórych z nas płynie więcej polskiej krwi, w niektórych mniej. Jedno jest pewne: Polska jest dla nas bardzo



Światowy Mini Złot – Nowa Róża, wrzesień 2013

fot. ZSCz

ważna, jako kraj naszych rodziców, dziadków, kraj przeszłości... czy tylko? Przecież wielu z nas decyduje się na przyjazd do Polski na studia, do pracy. Jest to więc również kraj naszej przyszłości. Znajomość języka polskiego jest dla nas bardzo ważna, nikt nie musiał nas zmuszać do jej nauki. My chcemy, z całego serca, znać dobrze język polski, przecież właśnie w tym języku porozumiewamy się z naszymi polonijnymi przyjaciółmi.

Każde z nas ma swoich znajomych, rodzinę, społeczność do której przynależymy, ale pewne tematy i problemy są zrozumiałe tylko dla nas, „mixów”. Przyciągamy się jak magnez. Taka wewnętrzna więź, banalnie mówiąc. Nasza grupa przyjaciół pochodzi z Holandii, Francji, Norwegii, Niemiec, Ukrainy, Czech, Japonii, Ameryki, Węgier. Nie jesteśmy jednak zamkniętą rodziną. Jesteśmy otwarci na wszystkich, którzy jak i my, są czasami zagubieni.

„Mini Złoty” odbywają się nieregularnie, trudno jest ustalić wspólny, wolny od obowiązków czas. Zjazdy trwają przeważnie 2-3 dni. Często korzystamy z gościnności letniej siedziby Sceny Polskiej w Holandii i od niedawna Fundacji „hOlendry” w Nowej Róży, gdzie swobodnie możemy się spotkać dużą grupą i mile spędzić czas. Żeby pokazać znaczenie tego Mini Złotu, pokreślę, że niektórzy z nas przylatują z drugiego końca Europy, inni pokonują samochodem blisko 1000 km w jedną stronę, żeby móc wspólnie spędzić chociaż te dwa dni. Mogę stwierdzić bez cienia wątpliwości: chcemy się razem cieszyć i przebywać ze sobą, rozmawiać o sprawach, które nas łączą, dzielić się podobnymi wątpliwościami, utrzymywać nasze więzi – bezpośrednio, poza wirtualną rzeczywistością. Drogi Czytelniku, że choć trochę rozumiesz nasze „Rozdarcie”.

Dziękuję za uwagę,

SZYLWIA TRZOSEK –SZABÓ (WĘGRY)



IX Światowy Złot Młodzieży Polonijnej „Orle Gniazdo 2013”

fot. Stanisław Loba

BEZ BARIER



Letnie wyprawy d

DANUTA ŁAWNICZAK

Minął kolejny rok od ostatniego spotkania grupy miłośników natury z Polskiego Towarzystwa Stwardnienia Rozsianego Oddział Wielkopolska z Poznania w gościnnej zagrodzie „hOlendry” w Nowej Róży k. Nowego Tomysła. W 2013 odbyło się już czwarte coroczne letnie wydarzenie, zawsze w tym miejscu, w ciągle powiększającym się gronie nowych oraz starych znajomych i sympatyków. Wieść o naszym zjeździe niesie się po tutejszej okolicy przez wiele poprzedzających tygodni i trwa podrzucanie pomysłów, pomocy, atrakcji, tematów – ich ilość zawsze przekracza nasze możliwości czasowe i wytrzymałościowe, więc natychmiast i bez problemu umawiamy hasło spotkania na rok następny. Sa plany na lat wiele... **DŁ**



2010 r. – „Zdrowa żywność prosto z pola”

– to wspólne przygotowywanie potraw ze wszystkiego, co świeżo zebrano z pola. Wówczas z ogromnym zapałem kroiliśmy różnorodne i świeżutkie plony ziem okolicznych na smaczną warzywną zupę, sałatki... i co tylko mieściło się do garnków i mis, by potem wspólnie je spożywać jako „SMaczki na imieninach Róży”. Imieninowym prezentem była wystawa róż wszelakich, na którą każdy z nas jakiś eksponat musiał przygotować.



2011 r. – „Fascynacje i dekoracje – piękno natury w naszych rękach”

– tym razem postanowiliśmy fascynację wytworami otaczającej natury, tym co rośnie na polach, łąkach i leśnych polanach – zamienić własnymi rękami na obrazy, dekoracje, bukiety, stroiki... Była wystawa w galerii, zachwyty nad niespodziewanie odkrytym własnym talentem, było fotografowanie, obdarowywanie, a te przywiezione do domów długo jeszcze pachniały klimatem Nowej Róży.

o Nowej Róży



2012 r. – „Energia z oddechu i uśmiechu warsztaty przeciw męczliwości w SM”

– czyli jak dostarczyć organizmowi choremu na SM energii poprzez umiejętny zdrowy oddech i uśmiech. Tu nie było problemu ani z tym ani z tym, Prawdziwy wykład i ćwiczenia uświadomiły nam niewiarygodnie pozytywny wpływ na moc naszych ciał. By to uwiecznić, odbyło się odczucie rysowanie, malowanie, rzeźbienie uśmiechów, potem w galerii pośród drzew ich wystawa, wybory miss uśmiechu i wesoty piknik. Do dziś każde wspomnienie tamtych zajęć wywołuje obowiązkowo uśmiech.



2013 r. „Las bez barier – las bliżej nas”

– zamierzeniem tej imprezy była edukacja i osvajanie leśnych barier, dostęp do okolicznych lasów, poznanie jego tajemnic. Pierwsze godziny zajęło nam smakowite spotkanie towarzysko-integracyjne z zaproszonymi osobami niepełnosprawnymi z pobliskich miejscowości, słuchaliśmy też opowieści człowieka-pasjonata lasu pt. co w lesie piszczycy... Potem wyprawa do pałacu w Porążynie, tam przejazd bryczkami konnymi do starej leśniczówki, gdzie pracownicy Nadleśnictwa Grodzisk, w tym sam p. Nadleśniczy – poprowadzili bardzo ciekawe spotkanie i zabawy p.t Las bliżej nas – co, okazało się, było dla niektórych z nas jednym z ciekawszych przeżyć ostatnich lat..

Świnia w dole



MAREK GRĄDZKI

Rzuciłem się na głęboką wodę. Postanowiłem z okazji odbywającego się we wsi, w której mieszkam Dnia Korboła, corocznego już święta dyni upiec w całości świnie metodą starodawną. Najpierw strażaki wykopali a właściwie wywiercili dół na metr głęboki w zwartej, gliniastej ziemi. Potem dno wyłożyli polnymi kamieniami, na nich zaś przez całą noc palili ogień. W tym czasie obsprawiona świnia skórę w kwadraciki przez Moją Małżonkę uczynione, miała pociętą, cała została natarta rozrobioną w oliwie solą z czosnkiem i pieprzem, na to dałem paprykę segedyńską, słodką, w środek zaś poszły małe korboliki, gruszki polne, dzikie jabłka i polne pomidory odmiany Lima. Całość zaszyłem zręcznie niczym chirurg dratwą. Świnie zawinęliśmy w płótno i rano najpierw żar rozgarnąwszy i świeżym piaseczkiem posypawszy do dołu złożyliśmy. Wtedy to jakimże piaskiem zasypana została na gorze niekę około



Piotr Michalski – restaurator dzielił świnie sprawiedliwie

Fot. KG

20 centymetrów zostawiając. W niej to ogień palił się przez 9 godzin, cały czas przez strażaków pilnowany. Godzina była 16, impreza kręciła się na dobre gdyśmy wyciągnąć ją postanowili. Napięcie rosło, bo przecie we wsi niedowiarków było sporo. A to, że surowa będzie, a to, że niedobra, i tak dalej, i tak dalej. Gdy pokazała się w całej krasie niewiernym Tomaszom szczęki opadły. Mięso z żeber samo z się osunęło kości pokazując. 100 kilogramowy tucznik ginął w oczach. O miękkości mięsa niech świadczy fakt, że pan Kazio, któremu to z zębów jeno dwa ostały, więc z gryzienia dawno zrezygnował, kilka razy po dokładkę wędrował kłopotu z jedzeniem

nie mając żadnego. Korboliki, jabłka i gruszki oraz pomidory pięknie uzupełnienie stanowią. Świnia na darmo ducha nie oddała, pochłonięta została do ostatniej wysanej kosteczki. Wszyscy już czekają na powtórkę w roku przyszłym, bo przecie dół został, kopać go już nie trzeba będzie. A ja wszystkich czytelników zachęconych moim pisaniem zapraszam w drugą sobotę września 2014 do Linia w powiecie nowotomyskim bo takiej atrakcji gdzie indziej nie znajdziecie.

www.ziemianinwkuchni.blox.pl
z uszanowaniem **MAREK GRĄDZKI**
– wasz sługa ziemiański



Gościem był Burmistrz Lwówka – pan Piotr Długosz

fot. KG



Starczyło dla wszystkich

fot. KG



Elżbieta Wicha-Wauben

Elizabeth Smart

"Whenever anything is contemplated, looked at, scanned for the truth,
the only report worth making is a poem."

Elizabeth Smart, dziennik "On the side of the angels", 13.02.1976

poeta George Barker miał piętnaścioro dzieci
z czterema różnymi kobietami
każda
z którą akurat był
była ważna
żadna nie była najważniejsza

nawet Elizabeth Smart
która
pisząc dla niego miłosny poemat prozą:
"Przy Grand Central Station usiadłam i płakałam"
(pierwsze wydanie w roku 1945 – obecnie klasyka)
urodziła mu czworo dzieci
wychowywała je sama
gdy George Barker płodził swoje wiersze
i dzieci z innymi kobietami

niby był z kimś a nie był
nigdy zupełnie
do końca życia kochała go
obsesyjnie
chodziło przecież głównie o to
by przeżyć każdy dzień
bez zbyt bolesnego odczuwania tęsknoty –
pożądanie spełniane przez innych

a przywłaszczyła go sobie zanim go zobaczyła
gdy w księgarni na Charing Cross Road w roku 1937
znalazła jego wiersze
oddala mu się zanim po raz pierwszy go dotknęła
ludzka pasja uznana za świętość
tyle zaważyła na świecie
przywiozła swą pasję do Kalifornii w roku 1940
i ofiarowała ją George'owi Barkerowi
może to ona zmarnowała mu życie
a nie on jej?
on pozostałby przy żonie
miałby zwyczajne kochanki

dziesięć lat przed śmiercią takimi słowami streściła swoje życie:
"Miłość. Dzieci. Zarabianie na życie. Przyjaźnie. Alkohol."

lecz dopiero potem nadeszło najgorsze:
śmierć najmłodszej córki

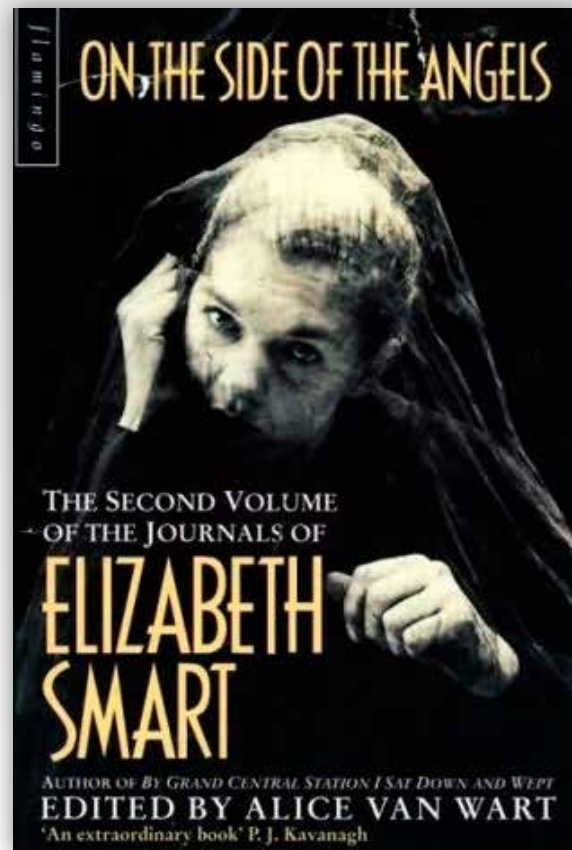
nieopancerzonej żadną miłością przeciw życiu

Elizabeth Smart
zmarła od papierosów i alkoholu
w 1986 roku
George Barker
zmarł od papierosów i alkoholu
w 1991 roku

kto zrozumie George'a Barkera
zrozumie wszystkich mężczyzn
kto zrozumie Elizabeth Smart
zrozumie każdą kobietę

ELŻBIETA WICHA-WAUBEN:

Wiersz pochodzi z cyklu, nad którym obecnie pracuję, a który nosi roboczy tytuł: „Kochanki”. Jest on o kobietach, które prowadziły nietypowe życie i pozostawiły tego życia świadectwo literackie.



Wakacyjna przygoda



JULIUSZ BURGIN

Pewnie wyobrażacie sobie Państwo, że opiszę romans z wakacji z erotyczną akcją, jaką przeżył młodzieniec, wybrawszy się na dwa tygodnie do „ciepłych klimatów”. Otóż nie.

Pan Maurik właśnie przeszedł na emeryturę a pani Maurikowa nigdzie nie przechodziła, bo całe życie spędziła w domu. Postanowili, że wybiorą się do Bazolles, miejscowości w centralnej Francji, w departamencie Nievre. Był tam przyjemny kamping nad wodą, gdzie sąsiedzi Maurików zawsze jeździli i namawiali ich już od kilku lat, żeby też się tam wybrali.

Dopóki pan Maurik pracował, przysługiwał mu ustawowy urlop i wydawało się Maurikom, że koszty, pakowanie, długa podróż, przyzwyczajanie się do miejsca, powrót, rozpakowywanie się, od nowa rozgrzewanie sobą domu – to wszystko niewarte było tych dwóch tygodni wolnego. Ale jak się jest na emeryturze i człowiek ma tyle czasu ile chce, to co innego... Mieli niezły samochód, wygodną przyczepę kempingową i zdecydowali, że był już najwyższy czas, by przeżyć przygodę.

Pan Maurik wyliczył, że jeśli wyruszy z brabanckiego Oisterwijk po popołudniowym szczycie i wszystko pójdzie dobrze, będą rano w Bazolles. Jak to Holendrzy, przygotowali się na wyjazd starannie. Kompletnie wyposażenie turystyczne, a więc składane krzeselka, stolik, słoneczny parasol, czajnik, garnki, talerze, patelnie, noże i widelce i tak dalej i tak dalej... Wpakowali do przyczepy oba rowery... Naturalnie, wzięli ze sobą maszynkę do kawy, bo kawy smaczniejszej od tej, którą zawsze kupowali w Oisterwijk nie ma nigdzie. Zabrali też miednicę na przepierki i składany stojak do suszenia prania.

Napełnili zbiorniki wodą, zaopatrzyli się w pełne butle gazowe, wzięli zapas ubrań, bielizny, koców i bielizny pościelowej na dwa miesiące.

Samochód został przed drogą przejrany, akumulator doładowany, opony skontrolowane. Pani Maurikowa zostawiła u sąsiadki

kota i obgadała podlewanie kwiatków, pan Maurik załatwił na poczcie przesyłanie gazety i korespondencji do Francji i uprzedził elektronię, gazownię, bank i telefonię, że nie będzie ich dwa miesiące.

Samochód z przyczepą, oba dobrze wyładowane, stały przed domem gotowe do drogi. Pan Maurik to czytał gazetę, to zerkał w telewizor a żona krzątała się w kuchni, robiąc kanapki i parząc do termosu kawę na drogę. Czekali aż minie szczyt na szosach. Wreszcie około wpół do siódmej pan Maurik powiedział: „no to co matka, ruszamy?”

„No to ruszajmy, w imię Boże” – westchnęła pani Maurikowa.

Jechało im się spokojnie. Motor mruczał, równomiernie obciążony samochód i przyczepa prowadziły się łatwo. Z autostrady zniknęły ciężarówki a i ruch osobowy znacznie się przerzedził. Droga na południe Francji wiodła przez Paryż. Trochę się tym Maurikowie niepokoiili ale spodziewali się, że około dwunastej w nocy nawet na Rue Periferique wokół Paryża będzie spokojniej. Co dwie godziny przystawali na rozległych stacjach benzynowych, pan Maurik upijał filiżankę kawy z termosu, odwiedzali toaletę i jechali dalej.

Noc zapadła pogodna, ciepła i Pan Maurik czuł się wyśmienicie. W ogóle nie czuł zmęczenia a wręcz przyjemne podniecenie nocną włóczęgą przez Europę. Obecność żony i wszystkich tych drobiazgów, do których przywykł sprawiała, że czuł się lekko i pewnie. „Nawet o moim (...) pamiętała, kochana kobieta...” – pomyślał z czułością i ścisnął żonie dłoń.

Pani Maurikowa rzuciła mężowi ciepłe spojrzenie. „Aaaach Toniuu – rozświetlała się – tak mi się zachciało spać, tak mi się dobrze...”

„Mam pomysł, słonko. Czekać, zaraz będzie parking przy autostradzie” – powiedział pan Maurik.

„Będziemy nocowali?”

„Coś znacznie lepszego. Ty będziesz spała jak królowa, a ja cię zawiozę nad francuskie jezioro.”

Na parkingu pierwszy wyskoczył z samochodu i wszedł do przyczepy. Szybko uwolnił od bagaży kanapkę i pościelił i wymościł wygodne gniazdko z poduszek i koców. „Voila, proszę bardzo! Wchodź, Duszko...”

Pani Mourikowa zobaczyła gniazdko, uśmiechnęła się z wdzięcznością. Podczas gdy mąż zaciągał firanki w oknach, prędko przebrała się w nocną koszulę i otuliła ko-

cem. „Toniuu, a czy to nie jest niebezpiecznie spać tutaj?” – spytała sennie.

„Nie ma obawy, Mati. Będę jechał jak z jajkiem”. – I pan Maurik poobtykał koc i cmoknął żonę w dłoń i w usta.

Pojechali dalej. Samopoczucie pana Maurika, jeśli to w ogóle było możliwe, poprawiło się jeszcze bardziej. Wiózł w pędzącej sypialence oddającą się ufnie w te dwie ręce na kierownicy, uśpioną żonę. Było w tym coś wzmacniającego ducha i ciało. Około sto kilometrów za Paryżem, w okolicy Courtenay przystanął znowu. Zajrzał do przyczepy. Mati spała, lekko pochrapując. Pan Maurik przeciągnął się i rozejrzał po świetle. Noc była przepyszna. Ciepła, spokojna letnia noc. Niebo zasiane gwiazdami... Wpół do drugiej, z soboty na niedzielę, urlopy jeszcze się na dobre nie zaczęły – ruch na autostradzie nie był uciążliwy...

Autostradę opuścił pod Auxerre. Dalej droga wiodła po N 151, na Clamecy i jeszcze parędziesiąt kilometrów lokalną D 958 do celu. Migające światła ostrzegające ciężarówki. Trzeba zwolnić, wreszcie stanąć. Cała szosa stoi. Korek.

Pan Maurik wyszedł z samochodu. Podszedł do ciężarówki. „Merde – krzyknął szofer – z pół godziny się postoi. Zapali pan?”

Pan Maurik skinął głową.

Cisza i bezruch zbudziły panią Maurikową. Była przyjemnie, leniwie rozespana i bardzo musiała na stronę. Wstała i jakby rozbawiona niezwykłością sytuacji otworzyła drzwi i wyszła boso w noc, na ciepły asfalt. Wzdłuż łagodnego łuku szosy ciągnął się cieniejący sznur tylnych świateł nieruchomych, bezgłośnych pojazdów. Poszukiwał z boku las...

Trawa na poboczu była jak wilgotny akşamit... Krzaczki... Pani Maurikowa obejrzała się. Samochody trwały nieruchome, jak we śnie... „Tylko za pierwsze drzewo, parę metrów...” Ujęła nocną koszulę za brzegi i pobiegła... Przy drzewie obejrzała się. Za ich przyczepą dojechał zaledwie jeden Peżocik. Tę markę znała. Niektóre auta w rzędzie przygasiły światła i jakby drzemały...

Pani Maurikowa przeszła jeszcze dwa, trzy drzewa, przykucnęła i zamyśliła się.

Odgłosy ruszających pojazdów przeraziły ją. Zerwała się, potknęła, upadła, znowu się zerwała i po trzech metrach znowu się potknęła i kiedy wypadła wreszcie na szosę, ostatnie auto już nie słyszało jej: „Toniuuu!”

Z lewej strony wpadało do samochodu słońce. Pan Maurik, niezłe już zeszywnia-

ły ale całkiem jeszcze rześki zerkał co i raz to na piękny, taki czysty początek dnia... Krajobraz rzeźbił się przyjemnie. Jechał wprost na południe wzdłuż kanału Nivernais, do „zaprzyjaźnionego” kempingu w Bazolles miał jeszcze piętnaście kilometrów.

Zajechał z szykiem przed bramę kempingu, wysiadł, zachłysnął się świeżym powietrzem znad jeziora i klepnął dłonią w przyczepę: „Mati, jesteśmy! Wychodź, pijemy kawę!”

I znowu jest noc i znowu pan Maurik jedzie. Umordowany ponad siły dojeżdża do Oisterwijk.

W Bazolles posilił się tylko, zawiadomił policję że zniknęła mu żona, gdzieś na odcinku Courtenay – Bazolles, czyli ok. 160 kilometrów, zadzwonił do Holandii, do siebie, gdzie nikogo nie było i do sąsiadki, zawrócił i zaczął jechać z powrotem.

Poznał nagle miejsce, gdzie stał zeszedł nocy w korku. Przynajmniej wydawało mu się, że to to samo miejsce.

Przystanął i z godzinę chodził po najbliższej okolicy po obu stronach szosy. Nie znalazł nic prócz zgniecionego plastikowego kubka.

Jeszcze kilka razy stawał, żeby zatelefonować do sąsiadki (i do domu)... Sąsiadka

powiedziała, że dzwoniła tu i tam ale poważnie jęczała...

Przyjechał do domu i Mati nie było.

I do tej pory nie znalazła się. Ani w koszu nocnej ani w żadnym innym stroju...

Nie patrzcie Państwo na mnie z pytającym wyrzutem, że jak to?... No i co się z nią stało?... Nie wiem. Jest to jedna z tych nigdy nie wyjaśnionych spraw...

W każdym razie, taką mieli państwo Maurikowie wakacyjną przygodę.

**JB
Amsterdam**

Ideał i komar



JERZY SKOCZYLAS

Zobaczyłem ją w parku, zobaczyłem i oniemiałem. Dotychczas stwierdzenie, że na czyjś widok zapiera człowieka dech w piersiach, traktowałem jak pusty slogan, teraz okazało się że to prawda, po prostu musiałem wstrzymać oddech. Była tak piękna, że aż nierealna, a jednak była. Szła alejką i po chwili usiadła na ławce pod starym bukiem.

Szła wystarczająco długo bym zdążył zaobserwować jak jest niewiarygodnie zgrabna. Wspaniałe nogi, których na szczęście nie schowała pod długą spódnicą, miały boski, smukły kształt. Wkładając mini musiała mieć pełną świadomość tego co pokazuje. Wąska talia i wspaniałe biust pod obcisłą bluzką powodowały przyspieszone bicie serca. I jeszcze twarz. Była wprawdzie dość daleko, ale nie miałem wątpliwości, że buzia jest kunsztownym dopełnieniem całości. Nawet z odległości jaka nas dzieliła dostrzegłem duże, wyraziste oczy, kształtny nos, piękne usta, a nad tym wszystkim chmurę włosów w kolorze blond.

Nie mogłem od niej oderwać oczu. Dobrze, że dziewczyna, usiadłszy na ławce, zaczęła czytać książkę bo byłoby niezręcznie gdyby zauważyła, że gapię się na nią jak zahipnotyzowany. Patrzyłem i dosłownie pożerałem ją wzrokiem. Kiedy piękna nieznajoma niedbale założyła nogę na nogę aż jęknąłem z zachwytu.

W pewnej chwili dostrzegłem, że zjawiskowa kobieta przewracając strony upuściła na ziemię jakąś kartkę. To musiała być zakładka, która niechcący wypadła jej z czytanej lektury.

Los dawał mi szansę, miałem teraz możliwość by podejść, podnieść zgubę i zagadnąć przepiękną nieznajomą. Nie mogłem nie skorzystać z takiej okazji.

Po minucie byłem tuż przy niej.

Boże, z bliska, choć to zdawało się być wręcz niemożliwe, była jeszcze piękniejsza.

Schyliłem się, podniosłem kolorowy paperek i podając go powiedziałem:

– Dzień dobry, przepraszam że przerywam pani lekturę, ale coś pani wypadło.

Dziewczyna spojrzała na mnie cudownymi, błękitnymi oczyma, wzięła karteluszek i odrzekła:

– Faktycznie, to moja zakładka, dzień dobry, dziękuję, bardzo pan uprzejmy.

Głos miała tak subtelny i seksowny, że ciarki przeszły mi po plecach.

– Widzę, że czyta pani „Cmentarz w Pradze” Umberto Eco. To wyszło dość niedawno, prawda?

Szedłem za ciosem by choć o parę sekund przedłużyć rozpoczętą rozmowę.

– Tak, dwa lata temu, lubię Eco.

– Ja też chętnie go czytam.

– Polecam panu zbiór jego felietonów „Zapiski na pudełku od zapałek”.

– Dziękuję, tego nie czytałem, ale skoro rekomenduje to tak piękna kobieta, sięgnę po tę książkę z ochotą.

Dziewczyna uśmiechnęła się, a jej czerwone usta odsłoniły białe perłowe zęby.

Z wrażenia kompletnie mnie zatkało i nie mogłem wydusić słowa, na szczęście wyrzuciła mnie mówiąc:

– U Umberto Eco podziwiam wnikliwość i oryginalność jego obserwacji.

– Oczywiście – bąknąłem bez sensu...

i w tym momencie zauważyłem, że piękność ma na lewym policzku różową krostkę. Taką malutką, maluteńką. Zatrzymałem na niej wzrok, chyba o pół sekundy za długo bo kobieta lekko zmieszana podniosła ku twarzy rękę jakby chciała ukryć ten mikroskopijny mankament. W całym niebiańskim wizerunku przepięknej osoby ten nic nie znaczący feler nie odgrywał żadnej roli, właściwie nie istniał... a jednak...

Cudowna dziewczyna natychmiast odzyskała równowagę i rozwinęła temat Umberto Eco analizując jego twórczość rzeczowo i wnikliwie.

Wiedziała o włoskim literacie znacznie więcej ode mnie, więc ograniczyłem się jedynie do wtrętów w rodzaju: oczywiście, jasne, racja, w pełni się z panią zgadzam itp.

Ten dość jednostronny dialog pozwolił mi jednakowoż poczynić dalsze obserwacje. Bo gdy już oderwałem wzrok od nieszczęsnego pryszcza spostrzegłem, że boskie blond włosy chyba nie są naturalne gdyż dziewczyna ma odrosty. Nogi... no cóż, chyba jednak zbyt chude, nigdy nie lubiłem kobiet o cienkich nogach. Ten biust, znowu bez przesady, nie za duży, widywało się lepsze, jednak powinienem zmienić szkła. Oczy... oczy jak oczy, dość małe i jakieś tuzinkowe, usta raczej wąskie... no i ta krosta, znowu popatrzyłem na bąbelek na jej policzku... zaraz, co ona mówi?

– Komar. To komar!

– Co komar? Jaki komar? – przepraszam panią, zamyśliłem się.

– Wczoraj ukąsił mnie komar i stąd ta krosta na policzku.

– Oczywiście, komar, straszna w tym roku plaga, proszę posmarować, są takie specjalne preparaty w aptece. Przepraszam, ale muszę już lecieć, spieszę się, miło się gawędziło, do widzenia pani!

– Do widzenia! – odparła smutno.

Faceci są jednak durni, potrafi ich zachwycić i oczarować pierwsza lepsza, spotkana w parku, baba. Na szczęście są na świecie komary.

JS

Co mnie kręci?

EWA ZIMMER

Mmmmm... Rozpływa się w ustach. Delikatny smak gazu, o ile w ogóle można taki poczuć. Oczywiście i tym razem nie obeszło się bez posklejanych włosów i chętnych do przyłączenia się os. Nigdy nie wiem, czy wolę odrywać puszyste warstwy i jeść je po kolei, walczyć z całą chmurą od razu, czy może ugniatać ją mocno palcami, aż powstanie mały cukierek. Obrzydliwe, wiem. Ale co mam poradzić... Na tę przyjemność pozwalałam sobie jedynie raz w roku.

O! Świeżo palone ziarna. Co za piękny zapach. Dokładnie taki sam czuję, gdy otwieram próżniowo zamkniętą paczkę kawy i przesypuję ją do metalowej puszki. Lubię zawsze wygładzić ją na koniec łyżeczką, na tyle delikatnie, by poczuć, jak cząsteczki proszku ocierają się o siebie. O tak. Wypiłabym teraz espresso. Może postawiłoby mnie na nogi. Jest potwornie gorąco. Przy takiej temperaturze miałabym ochotę wstrząsnąć butelką z gazowaną wodą tuż przed jej otwarciem. Jakże cudowne jest takie rozkosznie chłodne orzeźwienie. Podobnego, choć jeszcze silniejszego dreszczu wewnątrz ciała, jakby w brzuchu, doznaję, gdy w upalne dni wchodzę do zimnej wody w jeziorze. Ależ to lubię. Takie podekscytowane, podobne do tego, które określa stan zakochania. Jakby napięcie i chwilowe zatrzymanie pracy serca. Jest ono na tyle przyjemne, że bardzo często sama poszukuję możliwości przeżycia tego ponownie. Już wiem! Podobnie jest, gdy czekam na zielone świa-

tło w pełnej gotowości, żeby wystartować jako pierwsza, obojętnie czy jadę samochodem, czy przechodzę przez pasy. Albo gdy zjeżdżam na sankach ze stromej górkę. O! A wtedy jeszcze dodatkowo mogę się wykrzyczeć. Często mam taką potrzebę. Na co dzień jedyną niemalże szansą na wyrzucenie z siebie nadmiaru energii jest głośne śpiewanie w samochodzie. Kiedyś wstydziłam się tego przed innymi kierowcami, teraz już nie obchodzi mnie, czy ktoś patrzy. Odpręża mnie to tak bardzo, że nie mogę sobie odmówić.

Ojej... Cała się kleję. Gdzie są te chusteczki? Ciężko cokolwiek znaleźć w tej torbie. Dziś ją sobie wysprzątam. Właśnie tak! Będę powoli wszystko wyciągać, układając sobie na stole, a potem, gdy już wszystko przetrę pachnącą chusteczką, włożę z powrotem do środka. Ach, jak to mnie odpręża. Owszem, trudno nie zgodzić się, że jestem bałaganiarą, ale za to, gdy zabieram się za porządkowanie... Chyba nikt nie robi tego dokładniej. I tak w kółko. Bałagan, porządek, bałagan, porządek. W głowie niestety to samo. Zwariowałabym gdybym nie znalazła wieczorem choć chwili na ukojenie płataniny myśli w spokojnym snuciu nierealnych marzeń...

Dookoła gwar. Wszyscy radośnie biegają z jednej karuzeli na drugą. Są tacy, którzy mają swoje ulubione. Ja natomiast, z drewnianym patykiem po wacie cukrowej w buzi i głupim wyrazem twarzy, siedzę na zielonej ławeczce. Przede mną, w pełnej okazałości, prezentuje się wesołe miasteczko. Kupiłam dziesięć żetonów, bym z niczego nie musiała rezygnować. Ale od czego by tu zacząć? A co zostawić

sobie na deser? Co mam zrobić?! Może postrzelać do ruchomych celów? A może wygrać nagrodę w loterii? Albo struchleć w przerażającym zamku strachu? Mogę też polatać na łabędzim grzbiecie, poobijając się w mini samochodzikach lub bezkarnie powrzeszczyć na pędzącej kolejce. No tak, ale z drugiej strony czemu by najpierw nie przyprawić się o zawrót głowy na kręcących się filiżankach. Przejechać się na bogato zdobionym słoniem? Obejrzeć podwodny okręt kapitana Nemo? A może pokręcić się na karuzeli...



DANUTA
ŁAWNICZAK

Z pamiętnika

*głowa aż boli
nie mogąc udźwignąć
ciężaru pomysłów
doskonałych,
w przepiętności
najdelikatniejsze odpadają,
a to one mogły być słodyczą
należną
w przewlekłej goryczy
umęczenia...*

*jedynym ratunkiem wtedy uśmiech
pierwszy – wymuszony
przyjaznym rozkazem
drugi – serdeczny i rozmnożony
otwarcie dusz jednakich
przy stole kanciastym
okrągłym w chwili
gdy trzeba się rozejść...*

Dł



Najwięcej zależy od nas samych

NATALIA KULIK

Przez ostatni rok wiele razy odwiedzałam Holandię. Lot z Krakowa do Eindhoven zajmuje około półtorej godziny, często zdarzało mi się więc zagadać do osoby siedzącej obok (Ciekawe, że ludzie niekiedy otwierają się w rozmowie z nieznanym bardziej, niż z kimś bliskim. To taka specyficzna cecha „przelotnych” kontaktów. Trwają w oderwaniu od Ziemi i niektórych obowiązujących na niej reguł). Podczas tych krótkich rozmów, niewymagających nawet podawania swojego imienia, na wstępie zawsze pytałam towarzyszy podróży o to, w jakim celu odwiedzają Holandię (Praca? Przyjemność? Studia?), od jak dawna są z nią związani oraz czy wiążą z tym państwem swoją przyszłość. Ostatnie pytanie zadawałam opcjonalnie, jedynie osobom, które uczą się, mieszkają, bądź sezonowo pracują w Holandii. Dotyczyło ono znajomości fundacji i stowarzyszeń polonijnych działających w Holandii oraz uczestnictwa danej osoby w organizowanych przez nie wydarzeniach.

Zanim zaczęłam bywać w kraju wiatraków częściej, żywiłam przeświadczenie, że niewiele osób młodych zainteresowanych jest tym, co mają do zaproponowania działające tam polonijne stowarzyszenia czy organizacje kulturalne. Wyobrażenie to wynikało z kilku powodów. Po pierwsze, mam znajomych i przyjaciół przebywających na stałe lub tymczasowo poza granicami Polski, którzy (z różnych przyczyn) nie dbają o nawiązanie kontaktów z innymi Polakami żyjącymi w okolicy. Po drugie, żyjemy w czasach globalizacji, gdzie różnorodność zastępuje unifikacja. Po trzecie (ale w kontekście pierwszego) dochodzi do transgresji kulturowej, czyli przemieszania wzorów i elementów kultur między sobą.

Rozmowy z młodymi osobami utwierdziły mnie w przekonaniu, że mój pogląd jest słuszny. Zdecydowana większość moich rówieśników lub osób niewiele starszych, mieszkająca w Holandii na stałe lub tymczasowo, nie była w stanie wymienić nazwy ani jednej z kilkunastu organizacji polonijnych w Holandii. Kilka kojarzyło pojedyncze



Autorka (z prawej strony) na „Polskiej Wiośnie Filmowej” w Delft

inicjatywy, wydarzenia i imprezy mające miejsce w przeszłości. Jednak na pytanie, czy w nich uczestniczyli, tylko nieliczni odpowiadali twierdząco. Wiele osób słyszało natomiast o kwartalniku „Scena Polska”, co było niemalym zaskoczeniem. Czy nie czytają? I dlaczego nie czytają? I tu wracamy do punktu wyjścia, a więc braku zainteresowania poczynaniami Polaków za granicą.

Problem nie polega na tym, że nie czyta się magazynów, nie wie się o wydarzeniach czy nie chce się przyjaźnić z rodakami. Są to jedynie efekty głębszych przeobrażeń, dokonujących się na poziomie świadomości i tożsamości, a więc tego, w odniesieniu lub opozycji do jakich elementów definiujemy samych siebie. Polaków jako naród na przestrzeni lat konstituowały wartości takie jak wspólnotowość i solidarność mające wyraz w długiej i złożonej historii, walkach z opresorem oraz kulturze. Problemem jest zanik więzi społecznych. Wydaje się, że poczucie wspólnoty, przynależności do większej całości osłabiło się, przez co z, dała od domu, bywamy samotni i zagubieni. Właśnie dlatego uważam, że działalność organizacji polonijnych jest tak istotna. Poczucie wspólnoty i solidarności

zapewnia wsparcie, którego tak często brakuje emigrantom. Świadomość, że nie jesteśmy sami i zdani jedynie na siebie jest pokrzepiająca. Pamiętajmy, że kultura, w której wzrasta człowiek, daje mu narzędzia służące samookreśleniu i wyodrębnieniu spośród innych. Częstotliwość kontaktu z rodakami, globalizacja i transgresja kulturowa oraz wiele innych czynników wpływają w jakimś stopniu na poczucie tożsamości, także narodowej, a więc wyznawane wartości oraz sposób identyfikacji siebie i definicji Innego.

Aby nie stać się jedynie kolejną kropką w morzu czy samotną trzcina na wietrze wydaje mi się, iż nie tylko rządzący i ambasady powinny zapewniać maksymalne i aktywne wsparcie dla działań podejmowanych przez polonijne organizacje. To przede wszystkim my sami powinniśmy bardziej interesować się ich programami, szukać kontaktu i informacji. Skorzystają na tym zarówno jednostki, jak i wielokulturowe społeczeństwa, bogatsze o świadomych siebie uczestników, przyczyniających się do wzbogacenia jego panoramy oraz lepszego funkcjonowania.

NATALIA KULIK

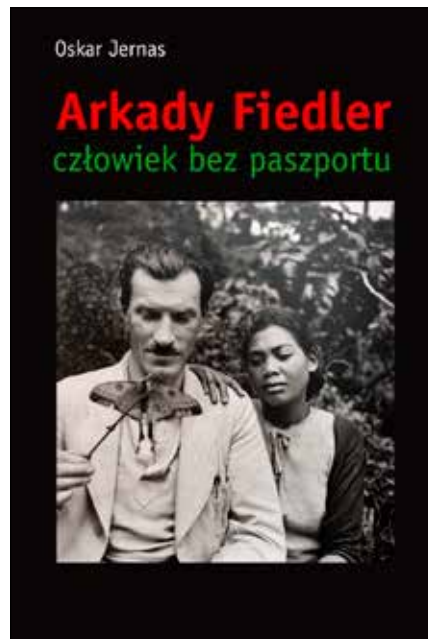
Arkady Fiedler – człowiek bez paszportu

KRZYSZTOF WODNICZAK

W pierwszy weekend października, w Puszczykowie koło Poznania, odbyła się uroczysta premiera książki i filmu „Arkady Fiedler – człowiek bez paszportu”. Licznie zgromadzona publiczność entuzjastycznie przyjęła film poznańskiego reżysera.

Podróżnik, pisarz i korespondent wojenny, jakim był Arkady Fiedler jest osobą ciągle obecną w życiu Puszczykowa. Niestety poza najbliższym jego otoczeniem osiągnięcia tej niezwyklej i co należy stanowczo podkreślić – pionierskiej postaci zostały mocno zapomniane. Szczególnie dotyczy to ostatnich ponad dwudziestu lat, od kiedy naczelną wartością stało się posiadanie dóbr materialnych. Niezależny reżyser filmowy z Poznania, Jerzy Jernas – który zrealizował m.in. film „Bohaterowie z Wapna”, czy „KSU – legenda Bieszczad, legenda rocka” postanowił przypomnieć współczesnym Polakom o zasługach Arkadego Fiedlera. Jak się okazuje większość osób odwiedzających Muzeum w Puszczykowie na widok książki „Mały Bizon”, albo „Wyspa Robinsona”

wyznają, iż to była ich pierwsza książka jaką w życiu przeczytali. Niektórzy nawet ze zdziwieniem stwierdzają, że kompletnie zapomnieli, że to właśnie Arkady Fiedler napisał legendarną książkę „Dywizjon 303”.



– Kilka lat temu uświadomiłem sobie, że koniecznie trzeba przypomnieć wszystkim losy Arkadego Fiedlera – mówi scenarzysta i reżyser filmu Jerzy Jernas. Przecież jego działalność powinna być wzorcem dla młodego pokolenia. Przyglądając się jego wielu napisanym życiorysom uświadomiłem sobie, że zawsze pomijany jest okres stalinowski. Wtedy już wiedziałem, że ten film musi opowiedzieć właśnie o tym – najtrudniejszym okresie w jego życiu.

Razem z filmem opublikowana została książka napisana przez syna reżysera Oskara Jernas pod tym samym tytułem. Pozycja ta jest nie tylko uzupełnieniem filmu.

– Zawiera znacznie więcej informacji o wojennych losach i dramacie, jaki pisarz i podróżnik przeżył po powrocie do ojczyzny. Jest w niej znacznie więcej faktów oraz nigdzie nie publikowane fotografie pochodzące z prywatnych zbiorów rodziny Fiedlerów – dodał Oskar Jernas.

Uroczysta premiera z udziałem synów pisarza miała miejsce w Miejskiej Bibliotece Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Puszczykowie.

KW



Oskar i Jerzy Jernas oraz synowie Arkadego Fiedlera na premierze filmu

fot. Arch.

Był sobie Kryzys i Ramzes

BOGDAN MICEK

Analista finansowy Willem Middelkoop już w 2008 ostrzegł na łamach programu RTL-Z:

„Dzisiejszy system finansowy stoi na skraju przepaści”, oczywiście za taki defetyzm musiał opuścić nie tylko RTL-Z, wyprowadził się też z telewizji.

Bardziej interesujące są artykuły mojej ulubionej gazety De Telegraaf. Gazeta wie gdzie leży podłoże kryzysu w Holandii, mianowicie winni są Marokańczycy, bo nagminnie kradną Holendrom rowery.

De Telegraaf nie ma jednak odwagi napisać, że w Domach Starców jest przydział pieluch.

Dwie pieluszki dziennie. Szanowny staruszek robi sobie poranną kupkę to ma do wieczora ciepłą dupkę, bo następna pieluszka przysługuje właśnie wieczorem, żeby się w nocy nie odparzył, broń Boże.

Bez zdziwienia przeczytałbym artykuł, że pieluchy też kradną Marokańczycy, ponieważ oni nie oddają swoich sędziwych bliskich do Domów Starców, a potrzeby fizjologiczne też owi bliscy mają.

Drodzy Państwo, wszystkiemu winni są Grecy, lenie i złodzieje, po co pisać prawdę, że w Grecji, greckie są tylko ruiny. Wszystko co jest coś warte należy do zachodniego kapitału, który przez lata zdążył się już wielokrotnie sklonować biednym inwestorom z zachodu.

Kryzys kryzysowi nierówny. Holendrzy oczywiście, ci ciężko pracujący, powinni być dumni z takiego holenderskiego kryzysu.

Szanowny Pan Menno Pot, publicysta, analista i kolumnista piłkarski, wykształcony na Uniwersytecie w Amsterdamie (Culturele Studies), umieścił artykuł, w którym z całym przekonaniem stwierdza, że na Ukrainie ludzie na śniadanie jedzą śruby, zakąszają narkrętkami, następnie dla smaku popijają to wykwentne śniadanie olejem silnikowym. Informuje także, że tam elektronicznie nie są potrzebne, bo ludzie są tak napromieniowani, że sami dają światło.

Po przeczytaniu tego, jakże interesującego wywodu, ogarnął mnie ogromny smutek.

Państwo zapytacie dlaczego, przecież to durny żart. Odpowiem krótko, dlatego, że nie dałem sobie szansy wykształcenia się na uniwersytecie w Amsterdamie na kierunku (Culturele Studies).

Pan Pot nie słyszał o IRT aferze, która kosztowała społeczeństwo dzisiejszy kryzys, a Pana van Traa życie. Pan Pot nie wie, co to jest Bouwfraude, nie będę złośliwy i podam tutaj najniższą sumę z raportu komisji: 8,3 miljarda euro. Przepraszam

Pani Alicja Grygierczyk pisze na łamach Sceny Polskiej: „W przypadkowo nawiązanej rozmowie z sympatycznym Holendrem odpowiada na pytanie skąd jest – Jestem z Polski... – Miły pan zadaje natychmiast następne pytanie „czy Ty też kradniesz samochody?”

Komentarz zbyteczny.

Zawsze byłem, jestem i będę dumny z tego, że jestem Polakiem i żeby mi obiecali złote góry nigdy nie zostaną Rumunem. Mam nadzieję, że wzbudziłem ciekawość. Wyobraziłem sobie, że jestem Rumunem i spotykam miłego Holendra, który mnie grzecznie pyta skąd jestem, więc też grzecznie odpowiadam z Rumunii, natychmiast pada następne pytanie „czy twoja żona to też kurwa?”

Komentarz zbyteczny.

Holenderski rząd i społeczeństwo muszą powiedzieć nie, nie-dbalstwu i bałwochwalstwu. Takich firm jak „Verzuimreductie”, firma, która powinna pomagać wrócić pracownikom do pracy, firma, która musi się charakteryzować fachowością, delikatnością, rzetelnością, nie ma prawa danych chorobowych pracownika przekazywać do dyrekcji. Dyrektor firmy na pytanie dziennikarza programu Zembla, cytuje „jakie Pan ma wykształcenie, odpowiada: „posiadam dyplom pływacki A i B”. Nieszczęście polega na tym, że tego rodzaju firmowe kalectwo jest nagminne.

Efektywność setek tysięcy doradców biur, niewidzianych etatów i pracy w rodzaju „a co pan tu właściwie robi?” – ktoś odpowiada: „dobre pytanie, proszę o następne.”

Zwracam się do Obywateli Holandii: Polaków, Indonezyjczyków, Portugalczyków, Hiszpanów, Niemców, Węgrów, Ukraińców, Włochów, Surinamczyków, Chińczyków, Anglików, Boliwijczyków, Meksykanów, Amerykanów, Indyjczyków, Turków, Greków, Belgów, Kazachów, Litwinów i Eskimosów, nie dajcie sobie wmówić, że ten kryzys wypracowaliście sobie waszą ciężką pracą.

BOGDAN MICEK
UTRECHT



tych, którzy się przestraszyli, nie jest tak źle, to tylko połowa z tego czym obciążono społeczeństwo. Nota bene, serdeczne gratulacje dla szarej eminencji Pana Elco Brinkman

Tak jak wcześniej umawiano się co do cen, umówiono się teraz co do kar. Kara nazywa się Kryzys i dostali ją ciężko pracujący Holendrzy.

Mistrzem w odwracaniu uwagi od rzeczy ważnych jest telewizja, w programie TV Voetbal International z wielką uciechą Pan Rene van der Gijp mówi, że Rumunki to same kurwy.

Pierwsze urodziny „Vectora Polonii”

ANNA GARNYS

13 października mija rok od inauguracji tygodnika „Vector Polonii”, który jest dodatkiem polonijnym do „Angory”, istniejącej na polskim rynku wydawniczym od 23 lat (jej obecny nakład to niemal 500 tys. egzemplarzy). „Vector Polonii” dystrybuowany jest głównie na terenie Francji i Belgii, jednak dociera do wielu zakątków świata. Tygodnik można kupić w polskich sklepach, ale można go także zaprenumerować. Sam dodatek dostępny jest również w wersji elektronicznej (szczegółowe informacje na stronie: www.vectorpolonii.com).

Autorzy tygodnika piszą o ważnych i ciekawych wydarzeniach związanych ze środowiskiem polonijnym, przedstawiają Polaków odnoszących sukcesy poza granicami kraju oraz wszystko to, o czym warto i trzeba wiedzieć. Można znaleźć tu felietony Krystyny Mazurówny i Grzegorza Sieczkowskiego, przegląd prasy polonijnej i teksty gościnne, rubrykę „Między nami Polonusami”, w której prezentowane są biografie interesujących osób. Ponadto tygodnik zawiera przepisy kulinarne, pro-

gram TV, a także kalendarium wydarzeń polonijnych.

Kiedy prasa coraz częściej przechodzi do wersji elektronicznych, szaleństwem wydaje się decyzja o wydawaniu drukowanego tygodnika. Odważną inicjatywę podjął Józef Rudek – wydawca „Vectora Polonii” i właściciel Galerii Roi Doré – miejsca, które coraz wyraźniej wpisuje się w pejzaż artystyczny Paryża. Od ponad 3 lat, z powodzeniem promuje polską sztukę i kulturę. Wystawia prace polskich artystów, tworzących poza granicami Polski... Odbywały się tutaj wystawy, m.in. Artura Majki, Ludwika Ogorzelec, Wojciecha Siudmaka, Michała Batorego, Józefa Burego, Hanny Cywińskiej – Zawy, Halinki Jakubowskiej, Aliski Lahusen, Bogdana Konopki, Janusza Kapusty, Stasysa Eidrigeviciusa, Mariana Kasperczyka i wielu innych.

W 2012 roku galeria została zakwalifikowana do udziału w prestiżowym wydarzeniu, jakim jest Mois de la Photo. Podczas wystawy konkursowej miłośnicy fotografii, przybywający do stolicy Francji z całego świata, mogli obejrzeć prace 13-stu polskich artystów, m.in. R. Cieśliewicza, B. Konopki, J. Burego, M. Batorego, K. Zarębskiego, G. Morawetz.

Organizowane są także promocje książek, m.in. wydawanych przez Yot-Art, wydawcę Vectora Polonii.

Podobno druki nie są modne. Jednak zespół „Vectora Polonii” jest innego zdania. Poświęca wiele czasu na to, aby idea przetrwała. Stara się docierać do wielu miejsc. Szuka ciekawych autorów, pisze teksty, przesyła je grafikowi, z uporem mania-ka drukuje co tydzień wiele egzemplarzy, a później dba o to, aby na czas trafiły one do Czytelników. 19 października mija rok od wydania pierwszego numeru, dlatego w Galerii Roi Doré będą miały miejsce urodziny tygodnika. Aura będzie iście magiczna, ponieważ w tym samym dniu odbędzie się wernisaż wystawy Pawła Joczka, połączony z prezentacją książki wspomnieniowej o tym wspaniałym artyście.

Po pierwszym roku wydawania „Vectora Polonii” wydawca i zespół podjęli odważną decyzję powiększenia objętości gazety. Od 21 października, na cotygodniowych 16 stronach znajdzie się jeszcze więcej informacji i ciekawych artykułów o Polonii i związanych z nią wydarzeniach.

**ANNA GARNYS – „VECTOR POLONII”
FRANCJA**

OPRACOWANIA GRAFICZNE

DRUK CYFROWY

DRUK OFFSETOWY

PIECZATKI

DRUKARNIA SWARZĘDZKA
Strasimirov i Morszecki Witold

PORA na najnowocześniejszy DRUK CYFROWY kolorowy i czarno-biały

www.drukarniaswarzedzka.pl
62-020 Swarzędz, ul. Pogodna 24a
tel. 61-817-27-64, 61-651-57-02

Podróż życia mamy i córki

Tajlandia - Laos - Malezja - Indie - Nepal

3 miesiące

33.000 km

bezpieczne wspomnienia

Prezentacja na życzenie

Kontakt: poolspodium@gmail.com

 **infotips® 2013**

23.11.2013



ARENA OBERHAUSEN

ZAKOPOWER
ANDRZEJ PIASECZNY

BUDKA
SUFLERA

KRZYSZTOF CUGOWSKI, FELICJAN ANDRZEJCZAK
IZABELA TROJANOWSKA

Beginn: 18.00 Uhr Einlass: 16.00 Uhr

więcej: www.infotips.de

POLISH
TOURIST
ORGANISATION



POLSKA
COME AND FIND
YOUR STORY



Move Your Imagination

www.poland.travel

